NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników - Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy - 15 kop. - 32 fen

Rok XIII. Kraków, 26 lutego 1916 Nr. 9.

„Oblężenie Krakowa".

(Treść na str. 6).



Moździerz austr. na pozycji pod Krakowem. (Z wystawy wojennej por. H. Uziembły).

Ministrowie w Krakowie.

Minister spraw wewnętrznych ks. Hohenlohe w towarzystwie ministra dla Galicyi dr. Morawskiego i namiestnika v. Colarda odbył podróż po Galicyi, aby naocznie przekonać się o zniszczeniu kraju. Do Krakowa przybyli ministrowie w dniu 11 b. m., powitani na dworcu przez pana namiestnika Colarda i przedstawicieli władz i urzędów.

Po powitaniu na dworcu ministrowie odjechali do Grand Hotelu, skąd udali się automobilami na Wawel, który szczegółowo zwiedzili, a następnie na objazd powiatu krakowskiego w towarzystwie p. namiestnika Colarda, p. delegata Fedorowicza, marszałka powiatu p. dra Skrzyńskiego i majora inżynieryi Czecha. Według programu zwiedzili wsie Bielany i Olszanicę, następnie udali się w okolicę północną powiatu, dotkniętą z początkiem wojny inwazyą rosyjską. Ministrowie interesowali się szczegółowo losem wiejskiej ludności i wypytywali o położenie jej i obecne potrzeby.

Po objeździe powiatu ministrowie powrócili do Grand Hotelu, a wieczorem odbyło się zebranie towarzyskie u p. del. nam. dra Adama Fedorowicza, które dało sposobność pp. ministrom poznania wybitnych osobistości tak kraju, jak i miasta.

Z zebrania ministrowie udali się wprost na dworzec, skąd odjechali o godz. 11-tej w nocy w kierunku Lwowa.



Pracownia fotograficzna por. Siczka w okopach. (C. B. W. — N. K. N.)



Szlakiem bojowym Legionów: Pułkownik Januszajtis z oficerami przy 15 ctm granacie. (Fot. por. Siczek C. B. W. — N. K. N.)

Manifestacyjny pogrzeb Legionisty w Warszawie.

Dnie 13 i 14 lutego pozostaną na długo w pamięci Warszawy, po raz pierwszy bowiem mogło wtedy miasto stołeczne uczcić hołdem pośmiertnym Legonistów-bohaterów, poległych wśród walk obecnych.

W niedzielę, dnia 13 lutego składano na Powązkach w grobie rodzinnym zwłoki Kazimierza Karskiego, oficera I. szwadronu ułanów Beliny, poległego w dniu 25 czerwca roku zeszłego pod Wojciechowicami, w pościgu za cofającą się piechotą rosyjską. Jego śmierć bohaterska uczyniła w swoim czasie głębokie wrażenie na towarzyszach boju, a nawet i na wrogach. Broniąc się do ostatka osaczającym go wrogom, poległ przeszyty bagnetami. Trzydzieści pięć ran poniósł w tym śmiertelnym boju. Przed wojną znany wśród krakowskich strzelców, pod pseudonimem Krak Dudzińca, słuchacz wszechnicy Jagiellońskiej na wydziale agronomicznym, po ukończeniu studyów udał się na praktykę rolniczą i tam zastała go wojna. Jedyny, ukochany syn zamieszkałych w Warszawie Jana i Maryi Karskich, jesienią zeszłego roku przekradł się przez linię bojową i zaciągnął się do ułanów Beliny. Piękna tradycya rodzinna pchała go niepowstrzymanie na tę drogę. Dziad jego, Karol

Karski, poległ w powstaniu 63. roku na Pińszczyźnie, brat tegoż, Józef, również powstaniec, zmarł z ran w Ołomuńcu, pradziad, Jan Karski, major woisk polskich Księstwa Warszawskiego, w Legionach Dąbrowskiego zdenał całą Europę. Bił się pod Jeną, Austerlitz, pod Berezyną, okryty ranami dostał się do niewoli rosyjskiej, z której uciekł. Dwaj jego bracia walczyli również w tej samej armii polskiej przeciw Rosyi.

Tryumfalnym pochodem szły zwłoki jego z cichego wiejskiego cmentarza w sandomierskiem, do rodzinnego miasta. We Włostowie odprowadzała go cała wieś. W Opatowie całe miasteczko, poruszone przez Ligę Kobiet, wyruszyło z wieńcami naprzeciw zwłok bohatera. Delegacya chłopów z Opatowskiego z wieńcem przyjechała wraz z trumną do Warszawy, drugi przysłano od ziemi sandomierskiej, która tymczasowego schronienenia udzieliła zwłokom bohatera. Warszawa, poruszona wieścią o pogrzebie młodego Legionisty, złożyła mu pośmiertny hołd w sposób imponujący. Tłumy zgromadziły się przy kościele św. Piotra i Pawła w chwili, gdy przy dźwiękach marsza żałobnego Szopena wynoszono z kaplicy trumnę okrytą sztandarem narodowym, na którym złożono czako ułańskie i szablę. Przed trumną szły długim orszakiem wszystkie szkoły polskie, uszykowane czwórkami, za niemi duchowieństwo, reprezentowane, prócz księży parafialnych, przez ks. prałata Gnatowskiego, ks. Pozowskiego, ks. Wesołowskiego (prowadzącego kondukt) ks. Niteckiego i kapelana Legionów, ks. Ciepichałłę. Za trumną szła rodzina, dalej delegaci armii austro-węgierskiej, radca dworu I. Rosner, hr. Kwilecki i przedstawicielstwo władz legionowych, na czele z p. pułk. Władysławem Sikorskim, szefem Departamentu Wojskowego. Za delegacyami władz szli Legioniści, którzy trumnę towarzysza wynieśli na swych barkach z kościoła i od bram cmentarza do grobu rodzinnego. Na osobnej platformie wieziono wieńce w wielkiej ilości. Prócz wieńców od rodziny, narzeczonej, przyjaciół i kolegów, prócz wyżej wymienionych i od armii austro-węgierskiej i niemieckiej, złożono następujące: 1. „Narodowy Związek Robotniczy — Żołnierzowi Polskiemu". 2. „Od Ligi Państwowości polskiej". 3. „Bohaterowi, poległemu za niepodległość Polski — H. O. S. K. W. O." 4. „Żołnierzowi Polskiemu — Polska Partya Socyalistyczna". 5. „Bohaterowi Sprawy Polskiej — Liga Kobiet Polskich", 6. „Swój kolego w cichym grobie. Niech się Polska przyśni Tobie", 7. „Bojownikowi o Niepodległość Polski — Koło Pomocy Akademickiej". 8. „Bohaterowi Legionów — Departament Wojskowy N. K. N.", 9. „Wzorem nam będziesz — Szkoła im. Dąbrowskiego", 10. „Bojownikowi o wolność narodu — młodzież szkół polskich", 11. „Bojownikowi za wolność — ziemia sandomierska", 12. „Żołnierzowi Polskiemu — Związek Patryotów", 13. „Od Polskiego Zjednoczenia Narodowego", 14. „Bojownikowi o wolność — Stronnictwo Radykalno narodowe", 15. „Od Narodowego Związku Chłopskiego" (wieniec przedstawiał orła białego z nieśmiertelników) i wiele innych.

Nieprzejrzane tłumy publiczności szły za orszakiem pogrzebowym. Morze głów zalało ulicę Marszałkowską, Królewską, przepłynęło przez Plac Saski, Wierzbową, Plac Teatralny, z powagą i spokojem, w porządku niezakłóconym, ku dalekiemu miastu umarłych, Powązkom. Przed zachodem słońca stanął orszak żałobny u bram cmentarnych. Po ukończeniu religijnego obrzędu i złożeniu wieńców przemówił nad grobem kapelan Legionów Polskich, a po nim podpułk. Wł. Sikorski. W następujących słowach żegnał zwłoki młodego bohatera:

„Na ziemiach polskich nowa powstaje mogiła. Do rzędu ofiar, które naród ponosi w obecnej, światowej wojnie, przybywa ofiara śmierci młodego i utalentowanego świętej pamięci Kazimierza Karskiego, który w obronie najświętszych praw narodowych poległ bohaterską, najpiękniejszą, żołnierską śmiercią, wiernie służąc Ojczyźnie i jej sztandarowi.

Nad grobem bohatera stoimy, jednego z najlepszych synów stolicy polskiej — Warszawy, która wierna swojej wolnościowej tradycyi, posyła ich w bój z odwiecznym wrogiem naszym. Dobrowolnie, świadomie i celowo, a w imię najwznioślejszych ideałów, dla dobra narodu i jego przyszłości poniesiona ofiara, jest tem cenniejsza, tem bardziej wartościowa.

Pomimo swej młodości, świętej pamięci Karski przygotowywał się już od szeregu lat do tej roli, jaką mu historya i los wyznaczył. W długie wieczory zimowe swych studyów uniwersyteckich, odbywanych z musu na obczyźnie i w Krakowie, zaprawiał się on teoretycznie w szkołach Związków Strzeleckich do służby żołnierskiej. W jasne, szare



Ministrowie w Krakowie: Minister spraw wewnętrznych ks. Hohenlohe (1) i namiestnik jen. Colard (2) w gronie dygnitarzy na Wawelu. (3) Delegat namiest. dr Adam Fedorowicz.



Wojna w Polsce: Na szczątkach swej chaty (Fot. T. Langier C. B. W. N. K. N.)



Manifestacyjny pogrzeb Legionisty w Warszawie: Kondukt ze zwłokami ś. p. K. Karskiego na Placu Teatralnym



Manifestacyjny pogrzeb Legionisty w Warszawie: Karawan ze zwłokami ś. p. Kazimierza Karskiego przed kościołem Piotra i Pawła na Koszykach.

dnie jesienne i wiosenne ćwiczył się wytrwale w mustrze.

Twardą była ta szkoła żołnierska, jak twardą służba w obecnej wojnie. Druh nasz serdeczny ukończył ją jednak świetnie, śniąc i marząc o szpadzie rycerskiej, tej szpadzie, którą się zdobywa w otwartej walce ze śmiertelnym wrogiem.

Sen o szpadzie rycerskiej, wskrzeszenie tradycyi i honoru polskiego żołnierza, walczącego w obronie swojej Ojczyzny, to były ideały przyświecające po koleniu, do którego ś. p. Karski należał.

I ziściły się jego marzenia. Spełniały się one wówczas, gdy w związku z przesławnym już dzisiaj pułkiem ułanów Legionów polskich przebiegł ziemie galicyjskie, kiedy z bijącem sercem wkraczał ponownie do swej bliższej macierzy — Królestwa, kiedy na karkach Moskali posuwał się coraz to dalej na wschód, biorąc udział bezpośredni w oswobadzaniu od jarzma rosyjskiego coraz to większych obszarów polskiej ziemi. Przyświecały mu wówczas świetne tradycye polskiej jazdy, budziły zazdrość w młodem sercu wspaniałe czyny oficerów Kozietulskiego, wielkiego bohatera z pod Samossiery.

W tobie, wierny żołnierzu sprawy, w twej duszy szlachetnej i rycerskiej odżyła się świetna a prosta, jasna i konsekwentna, mądra i wspaniała tradycya trzech polskich pokoleń, które z niezłomną wytrwałością walczą o wyzwolenie Ojczyzny, zwracając się przeciwko Rosyi.

I dlatego Ty, rycerzu, ze szczerem weselem w duszy, w poczuciu spełnionego obowiązku, na czele swych wiernych kolegów szedłeś w bój, jak na dzielnego przystało żołnierza. Otoczony zaś wraz z kilku towarzyszami wskutek zasadzki ze wszech stron, walczysz do ostatniego żołnierza, niezwykle drogo sprzedając swe życie. Z szablą w ręku, chociaż ciężko ranny, bronisz się do upadłego, by wkońcu zginąć bohatersko na bagnetach wroga, po odniesieniu 25 ran — i podnieść wysoko honor polskiego żołnierza, obudzić dziś nawet u wroga szacunek.

Sen Twej wczesnej młodości — sen o szpadzie rycerskiej — spełniony.

Imieniem żołnierzy i kolegów Twoich, którzy biorą Cię na wzór i przykład rycerski, żegnam Cię dzisiaj słowami znanej Ci dobrze, żołnierskiej piosenki:

„Śpij, kolego w twardym grobie,
Niech się Polska przyśni Tobie!“

Po tych słowach trzykrotna salwa plutonu honorowego armii niemieckiej uczciła grób Legionisty, poczem zaintonowana przez chór artystów teatru pieśń „Boże coś Polskę“ napełniła wezbraną falą tonów cmentarz powązkowski. Wtórowało jej kilkadziesiąt tysięcy głosów. Zwolna rozpłynął się tłum publiczności przejętej podniosłym nastrojem chwili.

„Dzieci krakowskie na froncie“.

Dużo już czasu upłynęło, gdy „dzieci krakowskie“, żołnierze 13 p. p. wyruszyli w pole, a nie zapominają o nas, jak i my o nich.

Że żyją wspomnieniami o Krakowie... świadczą o tem wymownie pozdrowienia i listy, jakie otrzymujemy od nich z pola walki... Jeden z takich dowodów pamięci, nadesłanych nam przez „trzynastaków“ wraz z fotografiami, zamieszczamy poniżej. W tym prostym liście „dzieci krakowskich z frontu“ czytamy:



Wojna w Polsce: W drodze po opuszczeniu zburzonej wsi w Królestwie Polskiem.

„W naszej obecnej siedzibie, w czysto ruskiem siole, 1 kilometer za linią ogniową jest kaplica rzym. kat., wystawiona staraniem jednego z garstki tutejszych obywateli Polaków. W kaplicze tej, czcigodny nasz kapelan X. Rudnicki (członek Zgromadzenia T. J. w Krakowie), odprawia dla naszych żołnierzy nabożeństwa. Wolni od służby żołnierze zbierają się co święto i niedzielę w kaplicy na mszę świętą, na której jest zawsze obecnym nasz pułkownik wraz ze swym adjutantem i gronem oficerów. Po mszy św. następuje kazanie, poczem odśpiewanie Suplikacyi i Błogosławieństwo.

Za zezwoleniem pułkownika, którego za dobroć i starania o swych żołnierzy wszyscy w pułku szanują i kochają, zawiązał się przy pułku kwartet chóralny, który w każdą niedzielę i święta śpiewa w kaplicy na chórze, wraz z kwartetem smyczkowym orkiestry 13 p. p., kolędy lub inne nabożne pieśni.

Z wioską tą i kaplicą związe nasz 13 p. p. dużo wspomnień. Tutaj spędziliśmy drugie święto Bożego Narodzenia, tutaj zastał nas Nowy Rok i tutaj na cmentarzu koło cerkwi ruskiej spoczęło snem wiecznym, poległych w obronie ziemi naszej, kilkunastu naszych kolegów. Po skończonej wojnie często wspominać będą uczestnicy ostatnich walk to sioło,



Wojna w Polsce: Karawana tułaczy w Królestwie Polskiem.
(Fot. T. Langier. C. B. W. — N. K. N.)

STANISŁAW MRÓZ.

UCIECZKA.

(Z cyklu: „DZIECI WOJENNE“).

Zbyszko Suszycki, uczeń czwartej klasy gimnazyalnej, wstał owego pamiętnego poranka bardzo wcześnie i bardzo zdenerwowany. Nic dziwnego — tego dnia miał nastąpić w jego życiu stanowczy przełom, zmiana decydująca. Było to postanowienie nieodwołalne: tak dłużej być nie mogło. Podczas gdy wszyscy mężczyźni stoją w polu, gdy ci tam stojący rozstrzygają losy świata — on miałby siedzieć wciąż za piecem i kuć głupiego Korneliusza Neposa? Nie, to się dłużej po nim nie pokaże! „W czasie wojny jedynem godnem męża zajęciem jest walka“ — jak ślicznie powiedział ten młody legionista, który przemawiał u nich na „kółku“. Zupełnie słusznie — w domu niech pozostają baby, tchórze i ci, co iść nie mogą. Ale on!

Jest przecież niewątpliwie mężczyzną. Ma już czternaście lat — te głupie kilka miesięcy, których mu do tego brakuje, — to się nie liczy. Zresztą, jest i tak o pół głowy wyższy od wujaszka — niedawno się mierzyli — a że trochę szczupły, to nic; w polu się mężnieje — tak wszyscy mówią. Tak, zostanie mężem, prawdziwym mężem przez walkę i swe czyny. Dziś jeszcze jest tu, ale jutro, pojutrze, a najdalej w niedzielę — oho!... Dzisiejsza noc była ostatnią, którą spędził pod dachem wprawdzie nie rodzicielskim, ale zastępującym mu chwilowo rodzicielski — na stancyi, pod opieką „pani“, wogóle zresztą pod dachem „cywilnym“. Jutro, ach, jutro!

Noc ta upłynęła Zbyszkowi bardzo niespokojnie. Przyszłe jego żołnierskie życie i czyny przesuwały się przed nim w szeregu obrazów, będących nawpół sennem marzeniem, a nawpół rozmyślaniem na jawie. Oto Zbyszko siedzi w rowie strzeleckim. Jest noc. Wszyscy wokoło śpią, tylko jeden Zbyszko zasnąć nie może (wprawdzie do tej pory nie trapiła go nigdy bezsenność, ale jako żołnierza...) Zbyszko więc czuwa, pykając swoją nieodstępną fajkę. Myśli o tych, co pozostali, albo o przyszłości... Nagle uszu jego dochodzi jakiś głuchy tupot; wychyla się ostrożnie i widzi liczne przemykające się wśród ciemności cienie. Nieprzyjaciel atakuje pod osłoną mgły... Zbyszko po cichu budzi komendanta i melduje mu, za chwilę cała kompania jest na nogach, a gdy nieprzyjaciel się zbliżył — salwa jedna, druga, trzecia... a potem: „ręce do góry!“ — resztki pułku nieprzyjacielskiego się poddały... Nazajutrz rozkaz dzienny w batalionie: „Nocny atak nieprzyjaciel skutecznie odparty, wzięto jeńca... dzięki przytomności umysłu szeregowca (co mu tam szarża!) Zbyszka Mściciela (taki sobie przybierze pseudonim) Suszyckiego“. Albo nie, bez Suszyckiego! Prawdziwe swoje nazwisko odsłoni Zbyszko dopiero wtedy, gdy się wsławi jakimś jeszcze znaczniejszym czynem.

Tak, naturalnie. W piechocie nic takiego wielkiego dokazać nie można. Muszą go przydzielić do samochodów — (Zbyszko tak zawsze chciałby być szoferem!). Pewnego razu Zbyszko wyjedzie na samochodzie sam w stronę nieprzyjacielskich pozycyj — nie, samemu wyjeżdżać bez rozkazu nie wolno.. Tak, pojedzie z ważnym meldunkiem do odległej pozycyi innego pułku. Na tę podróż pożyczy sobie samochodu od Mundka, co z nim razem jutro jedzie do Olkusza (Mundek b ę d z i e przy karabinach maszynowych!) karabinu maszynowego i ukryje go starannie; wprawdzie to nie wolno, ale powodzenie, a zwłaszcza świetne powodzenie wszystko usprawiedliwia na wojnie. Po drodze Zbyszko spostrzega nieprzyjacielski samochód, otoczony kilkoma jeźdźcami. Oni go nie widzą, zasłania go wzgórze. Zbyszko się przyczaja, oni się zbliżają, nagle on zasypuje ich ogniem z karabinu maszynowego. Konie i jeźdźcy padają. szofer zabity, jeden z pasażerów — oficer także zabity, drugi, starszy — lekko ranny. Próbuje on zawrócić swój samochód, ale daremnie. Tymczasem Zbyszko wypada i z wymierzonym karabinem już idzie ku niemu. „Proszę się poddać!“ (*demandez vous pardon!* — tak!) krzyczy Zbyszko. Generał — Zbyszko po czerwonych klapach widzi już, że to generał — podnosi ręce do góry. Zbyszko podchodzi, generał wręcza mu swoją szpadę, Zbyszko mu ją zwraca - albo nie! (mógłby mnie z tyłu uderzyć na samochodzie...) Zbyszko, grzecznie salutując (wobec pokonanego wroga należy być rycerskim) mówi do niego: „Ekscelencyo, swoją szpadę otrzymasz pan w naszej głównej kwaterze“ Zbyszko z wziętym do niewoli generałem wraca do swoich. Jest to nieprzyjacielski dowódca korpusu, który wyjechał na wywiad przed stanowiska swoich przednich straż. Znaleziono przy nim ważne papiery, z których wynika, że jutro ma się rozpocząć generalna ofenzywa nieprzyjaciela. Zbyszkowi dadzą pewnie za to pojmanie generała odrazu i krzyż i złoty medal waleczności — dla niego to nic nie znaczy, ale w domu będą się z tego cieszyć...

Otóż to — dom. Zbyszko nie pamięta, kiedy zasnął wczoraj wśród tych i innych obrazów swej wojennej chwały, ale to wie, że i w nocy i zaraz po przebudzeniu i dotąd trapią go myśli, co powiedzą na jego wyjazd — och, nie jest to żadna ucieczka — z domu. Wujaszek to jeszcze nic — to dzielny chłop, chociaż cywil, ale mama... Mama jest teraz w Wiedniu, lecz i tak niedługo się dowie. Naturalnie, z początku trochę popłacze (kobiety zawsze się mażą...), ale gdy przeczyta w gazecie o jego bohaterskich czynach, gdy Zbyszko powróci z całą piersią odznaczeń (włoży je umyślnie dla matki, tak nigdy ich nie będzie nosił) — mama będzie dumną ze swego syna. Zresztą, teraz nie takie czasy, niech i ona złoży ofiarę na ołtarzu ojczyzny. E, dosyć tego — gdyby tak koledzy, z którymi się umówił, domyślili się, że on się tak tu teraz maże w tkliwych rozpamiętywaniach w chwili, gdy nadeszła pora czynu!...

Zbyszko szybko kończy swoje przygotowania. Niczego mu nie brakuje. Pieniądze ma — za ostatnie dobre świadectwo dostał i od mamy i od wujaszka i od dziadka — jedno o drugiem nie wiedziało — wszystkie złożył; przepustka do Olkusza jest, dorożka zamówiona, niedługo zajedzie. Zbyszko odmówił dzisiaj śniadania — naprawdę niema apetytu, natomiast w swoim pokoju palił fajkę (pierwszą w życiu — trzeba się przyzwyczajać!) i przegląda swój woreczek podróżny, zrobiony na poczekaniu z poszewki od poduszki. Jest tam wszystko: druga zapasowa fajka (żołnierz palić musi — „blask rozżarzonej fajki rzucił czerwone światło na srogie rysy starego wiarusa“, przypomina sobie Zbyszko ustęp z batalistycznej powieści), skórzane nagolenniki i okulary samochodowe (Zbyszko musi być wojskowym szoferem!) tabliczka czekolady (znakomicie wzmacnia siły podczas długiego wyczerpującego marszu), chusteczka do nosa i tom Sherlocka Holmesa, bardzo zajmujący... Resztę wszystko dostanie t a m. Ach, jak to będzie zajmujące prać sobie koszulę w Styrze (Zbyszko nigdy nie prał koszuli) pod gradem kul, albo tropić kozaków w dziewiczych lasach Polesia! Dedukcya Sherlocka Holmesa i doświadczenia Sokolego Oka też mogą mu być w tem pomocne. Zbyszko niedługo pokaże, czem jest. Z karabinem, to nic, że drewnianym, ćwiczył już trzy razy i napewno oko go nie zawiedzie, ani ręka mu nie zadrży, gdy wymierzyć przyjdzie śmiertelny strzał...

Ale już zbliża się godzina, kiedy Zbyszko idzie codziennie do klasy. Jak zwykle, trzeba się iść pożegnać z panią, tem bardziej, iż teraz Zbyszko widzi, że to wcale niezła kobieta, choć zanadto lubiła się wtrącać do wszystkiego, co Zbyszko robił. Ale teraz już mu to nic nie szkodzi.

Przy pożegnaniu pani i inni zwrócili uwagę na straszną bladość twarzy Zbyszka i pytali go, co to znaczy, czy nie chory. Zbyszko odpowiedział ni w pięć, ni w dziewięć i odbiegł szybko do swego pokoju. Już czas, już czas... Czego ta głupia Kaśka stoi tu na drodze i tak mu się przygląda? Och, żeby tak poszła jak najprędzej i nie zobaczyła czasem, jak Zbyszko będzie wychodzić ze swą podróżną poszewką! Chwała Bogu, poszła sobie!...

Zbyszko cicho wychodzi, trzymając poszewkę pod płaszczem, cicho otwiera i zamyka za sobą drzwi wchodowe, idzie już po schodach. To dziwne, nigdy nie zauważył, jak oni właściwie wysoko mieszkają — tyle tych schodów. W połowie schodów Zbyszko przystaje — ach, jak mu serce bije w piersiach mocno i nieregularnie — bu buch, i znowu po krótkiej przerwie bu buch (zupełnie jak wystrzały z „grubego wujka — przypomina sobie Zbyszko). No, dalej w drogę — jest już w bramie, tu wyjmuje poszewkę z pod płaszcza — za bramą — przed nim wolność i żołnierka. Dorożkarz już czeka — hurra!..

Zbyszko szybkim i lekkim krokiem podchodzi do doróżki i podnosi poszewkę, aby ją oddać dorożkarzowi na kozioł... w tem nagle — co to? ktoś go ujmuje za rękę... Zbyszko się odwraca... przed nim pani z miną surowo — poważną, za nią Kasia, za Kasią jeszcze ktoś — Zbyszko już nic nie widzi, jakieś płatki latają mu przed oczami. Wszystka krew, która po wzruszeniach pożegnania wróciła mu już na twarz, zbiegła mu teraz do serca, nogi się pod nim zachwiały, jakby je kto podciął... Co to się dzieje? Zbyszko machinalnie oddaje pani zawiniątko, po które pani wyciąga rękę, a potem oddaje je Kasi. Dorożkarz coś mówi i pokazuje na niego batem, pani mu coś daje, dorożkarz zawraca na miejscu i patrzy na Zbyszka z takim głupim uśmiechem (ciekawa rzecz, czy on mnie p o t e m pozna?) Pani idzie do bramy. Zbyszko machinalnie za nią, a za nim z zawiniątkiem Kaśka, która ich puszcza naprzód, już straciła swoją przestraszoną minę i znowu śmieje się, jak idyotka — jak zawsze.

Zbyszko powoli idzie za panią po schodach na górę. Nogi się pod nim uginają, jakby były zrobione z wałków waty, które namiękły wodą. Z głowy jakby wywiało mu wszystkie myśli i dumne rojenia. Złapany — złapany przez „baby“! (kto to była ta trzecia — czy stróżowa?). Nie słyszy, co pani do niego mówi, nic nie odpowiada: żeby mu już tylko dała spokój, żeby on mógł się raz dostać do swego pokoju. Nareszcie!

Tu dopiero rzuca się na krzesło, łokcie opiera na stole, a twarz kryje w dłoniach i wybucha płaczem. Taki wstyd! Co się stało? Więc on już nie pojedzie? Co to pani mówiła o telegramie do mamy? A co pomyśli Mundek i inni — oni już pewnie pojechali! Jak on się jutro pokaże do klasy — tam napewno już ten Tomuś, który ciągle tu łazi, wszystko będzie wiedział i wszystko rozpaple! Ciekawa rzecz, czy mu odbiorą fajki i sztylpy? Ach, jaki on nieszczęśliwy!

Napięta struna marzenia, dzwoniąca tonem tak wysokim górną pieśń o bohaterstwie — pękła, targnięta brutalnie ręką rzeczywistości, wydając jęk przeciągły.

Powoli, powoli Zbyszko się uspokaja z płaczu. Tylko czuje, że go głowa dziwnie boli: i w skroniach i na wierzchu głowy jakby go coś cisnęło; głowa chwilami mu się zawraca. To wypalona fajka zaczyna działać. Ach, jak Zbyszkowi niedobrze! Głowa go boli coraz mocniej. Stołek się pod nim zakołysał, cały świat zakręcił mu się, zawirował przed oczami, wreszcie porwały go okropne mdłości...

K O N I E C.

„Oblężenie Krakowa".

(Z wystawy wojennej por. H. Uziembły).

Na wystawie obecnej w krakowskim Pałacu Sztuki zwraca powszechną uwagę niezmiernie interesująca kolekcya obrazów porucznika Henryka



Szlakiem bojowym Legionów: Lektura „Nowości Illustrowanych" w rowie strzeleckim.

Uziembły — w przeważnej części osnutych na tle toczącej się obecnie wojny. Ciekawą jest historya powstania tych niezwykłych dzieł sztuki. Artysta nasz, pełniąc od samego początku kampanii służbę jako oficer ordynansowy, malował nieustannie w polu, wśród uciążliwych warunków i trudów, godząc obowiązki służbowe z nakazem malarza. Pokaźna ilość i wysoki poziom wystawionych obrazów zdumiewają nas tem więcej, że mieliśmy sposobność oglądania niezliczonej ilości studyów i notatek w pracowni artysty, chwytanych istotnie „na gorąco", bo czasem wprost wśród ognia bitwy. Porucznik Uziembło, biorąc udział jako uczestnik walk w bitwach pod Tarnowem i podczas oblężenia Krakowa, zaobserwował wypadki wojenne w sposób nowy, wydobywając trafnie ten wyraz, jaki posiada dzisiejsza nowoczesna wojna.

W obrazie pod tytułem „Przeprawa armii austryackiej przez Dunajec w pościgu za Rosyanami" — widzimy ogromny teren bitwy pod Tarnowem. Szczęśliwie wybrany punkt widzenia pozwolił artyście przedstawić jasno i przejrzyście pozycye wojsk naszych i rosyjskich. Obraz wyobraża chwilę, w której armia austr.-węg., przez zbudowany na prędce most pontonowy, przeprawia się na drugą stronę rzeki. Równocześnie pionierzy pracują nad odbudowaniem starego mostu spalonego przez uciekających Rosyan, mostu leżącego na szosie krajowej, prowadzącej z Krakowa do Tarnowa. — W oddali widać miasto Wojnicz i nadciągające niezliczone treny, wojska, parki automobilowe etc. od strony Bochni i Brzeska. Na zdobytych, strzaskanych granatami pozycyach rosyjskich leżą trupy nieprzyjaciół. — Wzdłuż ogrodzonych drutami kolczastymi pozycyi nieprzyjaciela, widać dokładnie działanie huraganowego ognia naszej artyleryi. Ziemia poryta lejami granatów i bomb artyleryi najcięższego kalibru. Leje te jaśnieją powyrywanem surowem podglebiem na wiosennych runiach i ciemnych płaszczyznach zoranych pól.



„Oblężenie Krakowa": Por Henryk Uziębło, autor cyklu obrazów z pola walki na wystawie wojennej w Krakowie.

Inne obrazy przedstawiają zniszczone w ofenzywie majowej kościoły i zabytki architektury. I tak zakład Sacré Coeur w Zbylitowskiej Górze, kościół



Szlakiem bojowym Legionów: Saperzy przy budowie szałasu (Fot. por. Siczek. C. B. W. N. K. N.)

parafialny w Tarnobrzegu i t. d. W temacie zaczerpniętym z oblężenia Krakowa p. t.: „Bateryе motorowe operujące w północno-wschodnim przedpolu twierdzy", przedstawił artysta w scenie pełnej życia i ruchu owe nadzwyczajne działa najnowszej techniki wojennej, które tak znakomicie przyczyniły się do obrony naszego miasta.

Obraz ten podajemy na tytułowej stronie naszego pisma. Z innych obrazów wymienić jeszcze należy portret rotmistrza I. pułku ułanów Łobaczewskiego — na tle pełnem grozy i smutku,



„Dzieci krakowskie" na froncie: Kwartet chóralny i kwartet smyczkowy 13 p. p. na pozycyi.

przedstawiającem wieś polską zdeptaną srogą stopą wojny. Wojenną kolekcyę zamyka prawdziwie niesamowita karykatura jednego ze znanych oficerów załogi krakowskiej.



Wojna w Polsce: Zburzona pompa wodna

Wojna w Polsce.

Wojna, która przeszła huraganem pożogi i zniszczenia przez ziemie polskie, zamieniła ludność wielu wsi, miast, a nawet całych okolic na bezdomnych tułaczy. Uciekali mieszkańcy przed inwazyą rosyjską w Galicyi, znajdując przytułek w głębi monarchii, a choć życie ich w barakach nie było rozkoszne, znajdowali się oni niewątpliwie w lepszem położeniu, niż wyrzucona z swych siedzib ludność Królestwa Polskiego. Chroniła się ona po lasach, bądź uciekając z zagrożonych ogniem walki miejscowości, bądź też wyrzucona przemocą przez uciekających Rosyan, którzy cofając się przed zwycięskiemi armiami, palili wszystko za sobą, a mieszkańców usiłowali uprowadzać z sobą. Chłop polski bronił się jednak, jak mógł, przed tym gwałtem. Mieszkańcy popalonych wsi kryli się po lasach, aby po odwrocie Rosyan wrócić choć na zgliszcza i rozpocząć ciężką pracę na roli.

Po wypędzaniu Rosyan z Królestwa Polskiego i przesunięciu się linii bojowej dalej na wschód, wyrzucona chwilowo z swych siedzib ludność zaczęła powracać do zniszczonych, lub opustoszałych wsi, aby rozpocząć tam nowe życie. Z tej wędrówki tułaczy w Królestwie Polskiem zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg illustracyi.

Szlakiem bojowym Legionów.

Rzadko pojawia się w dziennikach naszych wieść o drugiej brygadzie Legionów, chętnie też dzielimy się wiadomością z obecnego terenu walki tej sła-



Wojna w Polsce: Ucieczka żydów z zagrożonego miasteczka w Królestwie Polskiem. (Fot T. Langier, C. B. W. N. K N)



Na polu chwały: Pogrzeb por. Leg. dr. Edm. Szalita. Obok grób hr. Tyszkiewicza. (Fot. por. Siczek, C. B. W., N. K. N.)



Na polu chwały: Pomnik na grobie Legionistów w Nadwórnie.



Wojna w Polsce; Zbombardowany kościół w Dąbrowicy za Lublinem.



Szlakiem bojowym Legionów: Grupa oficerów III. pułku na froncie.

wnej „karpackiej“ brygady, nadesłaną nam przez jednego z Legionistów. Pisze on między innemi:

„Wśród lasów wielkie piaszczyste polany uprawne, wszystko otoczone i poprzecinane bagnami i trzęsawiskami, poprzez które płyną potoki. Słowem laski, piaski i błota naprzemian. Od wsi do wsi kilkanaście kilometrów piaszczystej lub błotnistej drogi. Wioski bez ludności i przeważnie popalone do cna. O pięć kilometrów od takich pogorzelisk w błotnistym lesie jest nasza pozycya. Jeden batalion na błocie, drugi na piaszczystym pagórku. Wybudować na tym terenie okopy, to jest syzyfowa praca: na błocie najprzód trzeba zrobić pomost przez całą długość pozycyi, a potem na tym pomoście usypać wał wysokości człowieka i wał ten obłożyć z obu stron belkami, żeby piasek się nie usuwał. Na pagórku łatwiej, bo kopie się rów w piasku i tylko ściany trzeba obłożyć. Pracujemy jak woły, ale zato już w rozkazie korpusu nasze okopy były nazwane — „pierwszej klasy“. Wciąż też otrzymujemy dowody uznania i pochwały“.

Zgon malarza-Legionisty.

Sztuka polska złożyła dań z jednego z wielkich swych talentów, na ołtarzu sprawy narodowej. Po długiej chorobie, wywołanej trudami wojennymi, zmarł Legionista, Tadeusz Ajdukiewicz, znakomity artysta malarz, którego imię przez pół wieku rozbrzmiewało rozgłosem powodzenia i uznania na dworach europejskich, snując nić chlubnej tradycyi malarstwa polskiego, zapoczątkowanej w minionym wielkim okresie najwyższego rozkwitu malarstwa polskiego przez Grottgera, Matejkę i Siemiradzkiego.

Z śmiercią Ajdukiewicza zrywa się jeszcze jedno ogniwo tej żywej chwały, ustępuje jeden z ostatnich jej przedstawicieli.

S. p. Ajdukiewicz urodził się w roku 1852 w Witkowicach w Galicyi, z rodziny szlachecko ziemiańskiej. Po wyjściu z krakowskiej szkoły sztuk pięknych, jeszcze za dyr. Łukaszkiewicza, zabłysnął odrazu talentem. Potem wyjechał do Wiednia i Monachium i tam pod wpływem Brandta rzucił się do batalistyki. Niebawem zdobył rozgłos i niebywałe w świecie malarskim powodzenie. Jeździł do wszystkich stolic europejskich, podawany sobie przez dwory, jako świetny portrecista. Maluje monarchów, ministrów,



Szlakiem bojowym Legionów: Komendant III. pułku, pułkownik Minkiewicz



Szlakiem bojowym Legionów: Grupa oficerów i lekarzy III. pułku.

dostojników, prowadzi życie koczownicze na Bałkanie, w Azyi, Egipcie, wielkomiejskie w Wiedniu, obdarzany zaszczytami i orderami. Jako nadworny malarz austryacki, rumuński i sułtański, miał sposobność zebrać kroćiowy majątek. Nie zebrał go, bo bujny temperament polski unosił go tak szeroko, że zaprowadził go aż na granice niedostatku.

Gdy wybuchła wojna europejska, Ajdukiewicz odnalazł w duszy wszystkie porywy Polaka o gorącem sercu, o których zatracenie go posądzano. W 65 roku życia, sterany losami, daje młodym przykład: wstępuje do Legionów — bierze udział w walkach i znękany chorobą, kończy życie w szpitalu wojskowym, w tym Krakowie, w którym rozpoczął był swoje życie artystyczne.

Rzucając tych kilka słów hołdu na świeżą mogiłę malarza Legionisty, zapisujemy z żalem stratę jednego z wybitnych przedstawicieli kultury polskiej, prawego syna Ojczyzny.

Cześć jego pamięci!

Na polu chwały.

Im dłużej trwa woja, tem więcej przybywa jej ofiar. Wyrastają też wciąż nowe mogiły naszych



Z życia Legionistów: Wydawanie obiadu w batalionie uzupełniającym



Z życia Legionistów: Praca w batalionie uzupełniającym



Zgon malarza-Legionisty: S. p. Tadeusz Ajdukiewicz.



Na polu chwały: Ś. p. Zygmunt Czechna-Tarkowski, kapitan Legionów polskich



„Dzieci krakowskie“ na froncie: Grupa odznaczonych „trzynastaków“.

Legionistów. Aby uchronić je od zagłady troskliwa ręka wznosi na nich krzyże i trwałe pomniki, aby świadczyły przed przyszłemi pokoleniami o naszych ofiarach i naszej krwi przelanej. W dzisiejszym numerze zamieszczamy fotografię takiego pomnika, wzniesionego na grobie Legionistów w Nadwórnej, oraz



Szlakiem bojowym Legionów. Ułan II. brygady na stepie.

zdjęcie z pogrzebu por. Szalita, którego życiorys podaliśmy niedawno. Prócz tego zapisujemy na smutnej karcie żałobnej Legionów nazwisko ś. p. kapitana Zygmunta Czechna Tarkowskiego, o którym jego towarzysz broni, p. J. E. Szarzyński, pisze:

Dziwny to był człowiek... Przy marzycielstwie o lekkim mistycznym podkładzie, drobiazgowość i systematyczność granicząca z pedanteryą; przy marsie na twarzy i powadze surowej — dusza łagodna i cicha. Życia jasnego nie miał. Słonecznego dzieciństwa nie znał... Sierocą drogą szedł od lat młodych — był sam. Całą siłą budzących się myśli i uczuć przylgnął do smutnej ziemi siedleckiej, o niej snuł sen cudny, gdy jako młodziutki akademik znalazł się na bruku lwowskim i wiarę swoją wplótł w pracę organizacyi strzeleckich, o niej śnił, gdy na czele kompanii w pierwszych dniach września 1914 roku przekraczał z bronią w ręku granicę Królestwa Polskiego.

Wojna zaskoczyła go w chwili, gdy wskutek ogromnego przemęczenia nerwów wzrosła w nim znacznie skłonność do mistycyzmu. Wypadki, następujące po sobie z ogromną szybkością, utrzymywały go stale w stanie niezwykłego podniecenia. W dniu mobilizacyi lwowskiego Związku Strzeleckiego, na wezwanie Piłsudskiego, stanęło czterdziestu i czterech oficerów...

Głęboko ujmowała myśl Tarkowskiego stosunek komendanta do żołnierza. Był dla niego ten żołnierz szary, drobny synem najukochańszym i najdroższym, dzieciakiem kapryśnym, ale dobrym i kochanym towarzyszem. Dawał mu każdą chwilę wolną od zajęć, każdą myśl, pozwalał mu z sobą razem przeżywać sny. Tradycye strzeleckie komendanta-obywatela nie były dla niego czczym frazesem regulaminu, owszem, po roku wojny, po całym szeregu gruntownych zmian były w nim tak żywe, jak w chwili, gdy pierwszy raz obejmował komendę II. rakowickiej kompanii w batalionie uzupełniającym kap. Kitaja.

Żołnierz, który naogół niedocenia swych komendantów, w tym jedynym bodaj wypadku kapitana swego rzeczywiście szczerze kochał.

Pamiętam, późnym wieczorem, gdy żołnierze nasi spali, nadeszła wiadomość, że po dłuższej chorobie kapitan wrócił... Gdy w parę minut potem przechodziłem okopem, cała kompania była na nogach. W cztery miesiące nadeszła rano wiadomość etapem. Na lewem skrzydle pod K., w czasie szturmu, kapitan Tarkowski padł... „Kapitan Tarkowski zabity!“ — zwaliło się to na nas niby kamień.

Ciasno zrobiło się myślom w budzie i wyszedłem do okopu. Żołnierze nie spali. Przy nikłym ogniku siedziało ich kilku z pochylonemi głowami... Któryś grzebał w ognisku...

Podszedłem do nich...

— Cóż chłopcy? — ozwałem się, aby coś po-



„Dzieci krakowskie“ na froncie: „Trzynastacy“ w gronie dziatwy ruskiej.

wiedzieć. Ruszyli w milczeniu głowami, a któryś rzekł:

— Ano, już ta do nas Czechna nie wróci... Mówiąc to miał łzy w oczach.



Z życia Legionistów: Ćwiczenia batalionu uzupełniającego



Z życia Legionistów: Przed kancelaryą komendy batalionu uzupełniającego

MICHAŁ MORPHY.

KRWAWE MILIONY.

Tłum. z francuskiego **MARYA SEGENY.**

33

Henryk, podtrzymany tym dobrym przykładem energii i odwagi, opanował teraz zło niszczące go, na które składała się rozpacz, zniechęcenie i rozczarowanie. Ujął w rękę ster swoich spraw, do czego dopomagał mu markiz, zainteresowany gorąco przedsiębiorstwem kolonialnem syna i jego przyjaciół. Markiz był zawsze doskonałym organizatorem. Użytkując obecnie wyjątkowe swoje zdolności, inteligencyę niezwykłą i umiejętność operowania finansowemi sprawami, musiał dojść do dobrego rezultatu, na końcu którego czekał go spokój i majątek.

Z tej strony więc wszystko układało się pomyślnie i praca Allan-Kermor przybierała olbrzymie rozmiary, zbierając już poważne zyski, mniej zapewne ryzykowne od tych, które przedstawiały kopalnie złota barona de Bressien.

Powodowany subtelną inteligencyą, markiz starał się rozerwać syna i odpędzić od niego niepokojące myśli, które nawiedzały go niekiedy, niszcząc nadzieję w urzeczywistnienie planów Allana. Nie miał w sobie tej ślepej wiary, rozświetlającej ciemne strony życia, w których niekiedy ukrywa się prawda.

Markiz czekał zaś, oszołomiony cokolwiek przez wszystkie te przejścia, zdrady, więzienie. Czy wyniknie z tego załatwienie mogące uczynić zadość wymaganiom jego honoru i rodowej ambicyi? I czy ta tajemnicza przeszłość, niebezpieczna i smutna, będzie mogła się ukryć przed ciekawym wzrokiem świata, w którym nadal żyć będzie zmuszony? Starał się jednak zbytnio o tem nie myśleć i odwracał myśli Henryka w inną stronę.

Henryk jednak był ciągle myślą przy Allanie, chociaż o nim wspominał rzadko.

— Wiele czasu upłynie — myślał — zanim Allan dojdzie do celu.

I nagle otrzymał dwa telegramy od niego. Telegramy, pełne wstrząsających wiadomości: wyznanie Andrzeja Delrue, odkrycie całej prawdy i oznajmienie, że jest zwolniony z danego słowa, zerwanie małżeństwa jego z Sydonią de Bressien.

Obecnie Allan znajdował się już w Bretanii.

— Ten człowiek jest przecież potężny i wielki — zawołał Henryk, ściskając z radości ojca w ramionach.

— Przyznaję ci słuszność — przytaknął markiz. — Posiada olbrzymi zmysł praktyczny, połączony z nadzwyczajną delikatnością uczuć. Jego sposób załatwienia sprawy podwaja jej wartość.

— Nareszcie oddycham swobodnie. On jeden z nas widział jasno i prawdziwie! Ach! Ten de Bressien, Sydonia, Delrue! szczególniej Delrue! W jakie straszne i odrażające ręce wpadliśmy wszyscy, mój ojcze. I ty i matka i ta biedna Janina! Ale stworzę jej takie szczęście, że będzie musiała zapomnieć o doznanych krzywdach! Gdyby tylko przebaczyć mi chciała!

Markiz ujął syna za ręce i wyrzekł z poważnem postanowieniem.

— Wiedz, mój Henryku, że ja w tem wszystkiem największą winę ponoszę.

A kiedy Henryk pieszczotliwym ruchem ręki bronił mu wypowiedzenia słów dalszych, rzekł jeszcze:

— Ale naprawię zło wyrządzone, przysiągłem sobie to! Odkupię tę winę.

Uwolnił się z objęć syna i usiadł przy biurku.

— Trzeba wysłać odwrotną odpowiedź — objaśnił uśmiechając się. — Po amerykańsku, jak nasz stary przyjaciel Allan.

Skreślił kilka wierszy na ćwiartce papieru i podał ją oszołomionemu Henrykowi.

— Dobrze tak będzie, nieprawdaż? Powiedz?

Słowa telegramu brzmiały w następujący sposób:

— „Towarzystwo Allan". — poste-restante — Brest.

„Drogi Allanie! Mam zaszczyt prosić cię o rękę panny Janiny le Brenn, siostrzenicy twojej, w imieniu mojego syna, Henryka. Oczekuję twojej cennej odpowiedzi i ściskam gorąco dłoń twoją. Markiz de Kermor".

Łzy szczęścia zabłysły w oczach Henryka. W milczeniu ucałował rękę ojca.

Nazajutrz nadeszła krótka odpowiedź.

— „Markiz de Kermor — Brazzaville.

— Doskonale — serdeczne pozdrowienie — Allan.

— — — — — — — — — — — — — —

Janina le Brenn urządziła sobie ciche i spokojne życie w wiosce swojej rodzinnej. Haftowała na zamówienie, do najbliższego miasteczka, pracowała w ogródku swoim, lub chodziła na połów ryb podczas przypływu morza. Była to jedyna rozrywka, przynosząca jej wiele korzyści, wzmacniająca jej podkopane siły fizyczne. Starała się zapomnieć o przeszłości, która tyle jej smutków przyniosła, ale często pomimo usilnych postanowień spoglądała na fotografię Henryka de Kermor i wówczas twarz jej pokrywała się cieniem tęsknoty i żalu.

— Jest już jego żoną — wzdychała ciężko — Szczęśliwa i spokojna. Jakże jej zazdroszczę!

Serce jej ściskała boleść silna, zabijająca na chwilę wspomnienie ukochanego człowieka. Ale odpędzała prędko od siebie to męczące uczucie i w wierze swojej niezachwianej i prostocie, nie wierzyła, aby taka krzywda spotkać ją mogła.

Pomimo ożywczego morskiego powietrza i zdrowego trybu życia, które wiodła, rumieńce jej znikły, a twarz szczupła pokryła się matową bladością. Lecz nie straciła nic na dawnym swoim uroku, tylko w całej jej postaci widniało coś bardziej uduchowionego i subtelnego. Noce były dla niej szczególniej przykre i długie. Skracała je więc, późno do snu się kładąc i wstając o świcie.

Jednego dnia usłyszała nieznany jakiś głos, wykrzykujący donośnie pod drzwiami jej domku.

— Godzina szósta, a panienka spi w najlepsze! Widocznie młodzi żartują sobie z dobrego przykładu starszych! Hej! Jest tam kto? Do stu kartaczy! Długo tu czekać będę! Otwórz Janko i przyjmij gościnnie dawnego, starego znajomego. Może znajdziesz u siebie coś do rozgrzania starych kości, bo poranek dyabelnie chłodny!

Janina wstała już od godziny i zajęta była podlewaniem kwiatów i jarzyn w swoim ogródku. Słysząc ostry głos przybyłego i energiczne dobijanie się jego do drzwi, sądziła, że to podochocony rybak jaki, powracający z nocnej zabawy i biorący jej dom za karczmę.

Ale głos stawał się coraz natarczywszy i błagalny i Janina uczuła litość dla pijanego gościa.

— To nieszczęśliwy człowiek — pomyślała — Nie mam nic w domu, oprócz trochę jabłecznika, ale chętnie go nim ugoszczę.

Obeszła domek wokoło i wązką ścieżką obrośniętą krzewami, poszła uspokoić krzykliwego gościa, który w zapamiętaniu kulą, na której się wspierał, bił uporczywie w małe drzwi domu, grożąc im zuiszczeniem. Był to stary rybak siwy, o wygolonej twarzy z fajką olbrzymią w ustach, o twarzy czerwonej i spalonej wiatrem morskim. Na trykotowy stary, wypłowiały kaftan, zarzucony miał płaszcz ceratowy, a nogi bose zabezpieczone miał słomianymi krepcami, ściągniętymi rzemieniem. Przedstawiał oryginalny typ bretończyka, włóczęgi z wybrzeży, żyjącego z wyłowionych ryb na przystani, a w większej części z tego, co mu pod rękę wpadło.

Rybak wyglądem swoim nie budził zaufania i widocznie przykrym był i brutalnym w obejściu. Głos jego brzmiał zuchwale i rozkazująco.

— No, przecież się zjawiłaś mała.

— Czego odemnie żądacie? — zapytała Janka, przypatrując się z zajęciem tej oryginalnej postaci — Czynicie taki chałas już od chwili.

— Pewnie, dzierlatko! Piekło całe mam w sobie. Gardło spalone. Spragniony jestem. Dawaj prędko coś do otrzeźwienia. Już od godziny ginę nędznie pod twoimi drzwiami, dziewczyno bez sumienia!

Mówił rybackim żargonem używanym na wybrzeżach Bretanii. Janina uśmiechała się spokojnie patrząc na niego.

— Moi drodzy — rzekła — u mnie ani kropelki wódki nie dostaniecie. Najprzód dlatego, że nie posiadam jej nigdy, a potem dla tej przyczyny, że wódka nie gasi pragnienia. Ojciec mój nie pił nigdy wódki. Pójdźcie za jego przykładem. Jeżeli chcecie, możecie tu wypocząć, posilić się i wypić szklankę jabłeczniku. To wszystko, co mogę wam ofiarować.

Włóczęga w miarę słów Janiny uspakajał się trochę. Mruknął żartobliwie, wytrzepując popiół z fajki.

— Najpiękniejsza dziewczyna dać tylko może to, co posiada, to wiadome. Właściwie nie jestem głodny, tylko spragniony wściekle. Wyszedłem ze szpitala, rozumiesz Janka!

— Rozumiem, że nie wódka może was pokrzepić!

— Ani twój jabłecznik, mała. Możesz go zatrzymać dla siebie. Ot widzisz, wolę palić fajkę, ona zastąpi wszystko. A może dałabyś mi trochę pieniędzy na kupienie tytoniu. Biedny jestem, jak mysz kościelna.

— Może dam, boście stary. Ale na drugi raz nauczcie się grzeczniej prosić. Ale zkąd wy znacie moje imię — zapytała Janina zaciekawiona swobodą włóczęgi.

— Twoje imię, Janina le Brenn. Ciekawe twoje pytanie, moja mała. A umiesz ty czytać?

— Zapewne. Ale poco wam ta wiadomość?

— Poto, żeby zrozumieć, co tu stoi napisane. To są, aby ci powiedzieć prawdę, moje papiery. I ważne są dla mnie, ale ty tego nie rozumiesz do stu dyabłów.

— Rozumiem doskonale, a wy nie potrzebujecie kląć tak brzydko.

— Masz tobie, teraz uczyć mnie zacznie. Trzeba ci wiedzieć smarkata, że wychowany zostałem niedaleko stąd i nie w zły sposób. Ale ty i tego nie rozumiesz.

— Przeciwnie. Jesteście tutejsi. No i co z tego?

— Co? Masz, popatrz trochę na moją książeczkę chłopca okrętowego. Nie nowa jest co? Nie od wczorajszego dnia. Urodziłem się trochę przed tobą, mała, i właśnie za tymi drzwiami, które mi tak grzecznie zamykasz przed nosem. Ach! widzę, że dziewczęta nasze nie wiele teraz serca mają! A twarde jak skały Pere Roche, które stąd widać!

Stary rybak szerokim ruchem kościstej ręki wskazał na olbrzymi złam z granitu, spoczywający na podłożu piasku i kamieni. Usiadł ciężko na ławce, znajdującej się przy wejściu do domu, wygładzonej przez czas i deszcze i wsparł brodę na kuli, spoglądając z pod oka na młodą dziewczynę.

Janina w pierwszej chwili obojętne rzuciła spojrzenie na papiery i książeczkę starego, nie przykładając do nich większej wagi na słowa jego. Ale wzrok ią nie mylił. Podpis, datujący już od pół wieku, opiewał na nazwisko, dobrze jej znane. Franciszek Allan le Brenn, syn Barbary Iwony Malonè i Jana Maryi le Brenn...

— I wy naprawdę jesteście Allan le Brenn? — zapytała Janina, nagle wzruszona.

— Który powraca jak złe ziarnko zagnane wiatrem. No i co? Dziwisz się! Co za niespodzianka dla okolicy, nieprawdaż mała? I cóż ty na to niepoczciwe stworzenie?

— Franciszek Allan! — zawołała zmieszana Janina ze łzami w oczach – Oh! wybaczcie mi, proszę! Przecież nie wiedziałam, nie mogłam się domyśleć! Proszę, nie gniewajcie się na mnie!

Mówiąc to rzuciła się na szyję starego włóczęgi i uściskała go serdecznie. Silne wzruszenie malowało się na jej twarzy. Spojrzenie jej z szacunkiem i radością spoczywało na starym krewnym! Przecież to był jej stryj, brat jej ojca, ostatni ze starego rodu rybaków le Brennów! Ten stary, zapomniany krewny przychodził do niej, pamiętał ją, przynosił może opiekę i ratunek dla niej! Przynosił nowy obowiązek, który spełni z radością. Zajmie się nim, stanie się pociechą jego lat ostatnich. Co prawda stryj Franciszek Allan nie był łatwy do pożycia, był samowolny i uparty, jak prawdziwy Bretończyk starej rasy, ale zawsze wykrzesze przy cierpliwości coś dobrego z niego. Będzie wiedziała, jak podstępnie wkraść się do jego kamiennego serca! Janinie teraz pewny i jasny cel zajaśniał na drodze życia, cel, mogący wypełnić jej dzień każdy i myśli. Obowiązkiem jej było poświęcić się dla tego starego, który po tylu latach tułaczki powracał do wsi rodzinnej, kaleką zmęczonym, opryskliwy i pewnie wymagający bardzo. Ale zresztą Franciszek Allan nie miał wcale złego spojrzenia, słowa jego były może tylko szorstkie i Janina instynktownie przeczuwała, że nie był takim złym, za jakiego uchodził. Pieszczoty i uścisk młodej dziewczyny nie bardzo się podobały staremu włóczędze, bo powstał z ławki niecierpliwie i odepchnął lekko od siebie Janinę.

— Dobrze, już dobrze, moja mała — mruknął. — Nie lubię czułości i scen tego rodzaju. Taka smarkata, jak ty, nie oszuka starego wilka morskiego. Wiem niejedno o tobie, zapamiętaj to sobie. Niewiniątko. Myślałby kto, że wyszła prosto z za kraty klasztornej! Pogadamy ze sobą trochę. Właśnie czuję do tego wielką ochotę.

Janina pod wrażeniem słów starego zbladła silnie. Rzuciła tylko na niego błagające spojrzenie. Zadanie jej nie przedstawiało się lekkie i prędkie do urzeczywistnienia!

— Mój wuju — wyrzekła nieśmiało — może zechcesz wejść do mojego domu i odpocząć, podczas kiedy ja pobiegnę po tytoń i rum dla ciebie? W pokoju znajduje się zawsze stary fotel moich dziadków.

— Patrzcie ją! — zaśmiał się Franciszek Allan ironicznie. — Umiesz zaskarbiać sobie względy starych krewnych, moja mała! Ale nie po to tu przyszedłem, wiedz o tem. Przychodzę upomnieć się o moją własność i zażądać od ciebie pewnych rachunków. To jest mojem prawem, jestem przecież najstarszym z rodziny le Brennów i wujem twoim, choćbyś sobie wcale tego nie życzyła.

Janina chciała tłumaczyć się jeszcze, że w pier-

szej chwili nie mogła przypuszczać, z kim ma do czynienia i wyrazić swój żal szczery z tego powodu, ale despotyczny starzec przerwał ostro jej słowa:

— Więc teraz już krewni nie mają prawa mówić, co myślą? Powiadam ci, że nie potrzebuję wcale twojego pozwolenia do wejścia do tego domu i odpoczęcia w fotelu moich ojców, jeżeli mi do tego przyjdzie ochota. Ale ty mnie tu chcesz trzymać na ławce przed drzwiami jak obcego natręta. Zostaję tu na razie, bo taka moja wola i chcę ci powiedzieć, po co przyszedłem, a następnie obdarzyć kilkoma słowami prawdy.

Janina coraz silniej pomieszana słuchała, wstrzymując łzy, które jej mimowoli do oczów napływały, nie wiedząc już co powiedzieć, aby nie urazić starego.

— Brat mój Iwon — zaczął po chwili ochrypłym, gniewnym głosem — miał prawo do swojej części spadku, a nie do mojej. Myśleliście może, że zginąłem, ale to niema żadnego znaczenia. Papiery moje wszystkie są w porządku. Oddaj mi je, niepotrzebnie trzymasz je w rękach. Tak. Żyję jednak jak widzisz, powróciłem do kraju i zajmę się sprzedaniem tej starej budy. Każdy z nas dostanie część swoją. Ty jedną połowę, ja drugą. To jest rzecz pierwsza, a teraz powiem ci drugą i miej się na baczności!

— Oh! wuju! — zawołała Janina błagalnie składając ręce. — Chcesz sprzedać dom moich rodziców!? Nie! to niemożliwe, ty tego nie zrobisz! Przysięgam ci, że to ci przyniesie nieszczęście!

— Nieszczęście! — zaśmiał się z oburzeniem stary marynarz. — Znam dotąd tylko jedno wielkie nieszczęście na tym świecie! Zdychać z pragnienia i tego jednego wystrzegam się. Teraz będę miał zawsze czem gardło odwilżyć, a na razie przynieś mała to, coś obiecała.

Młoda dziewczyna ujęła go łagodnie za rękę i błagała gorąco:

— Wuju Allanie, posłuchaj mnie, przecież jestem jedyną twoją siostrzenicą. Przyznaję, masz prawo do połowy domu i do tego wszystkiego, co w nim się znajduje i nawet do drugiej części. To jest twoje, tylko twoje! Ja pójdę do żony tutejszego strażnika i tam zamieszkam, żebyś się czuł swobodniejszym tutaj. Tak będzie bardzo dobrze. Dom tej kobiety sąsiaduje z naszym, będziemy blisko siebie i gdybyś mnie potrzebował...

— Szkoda słów, moja kochana, nie zawrócisz mi głowy obietnicami. Skończyłoby się na tem, żebym zginął z głodu i pragnienia. Do stu piorunów. Ta dziewczyna bierze mnie za głupca!

Janina usiadła przy Allanie na ławce i całowała jego ręce, starając się go jeszcze przekonać.

— Zapewniam cię wuju, że nie będziesz potrzebował niczem się zająć, nie braknie ci niczego, przysięgam!

— A tymczasem nawet żałujesz mi szklanki czystej wody. No, no, mów dalej.

— Będziesz miał wódkę, jeżeli tak pragniesz koniecznie. Ja ci przecież rozkazywać nie mogę. Chcesz wódki, wuju? starej, dobrej wódki?

— Pierwszy raz dopiero słyszę, że mówisz rozsądnie. Dobrze ci się, jak mi się zdaje, powodzi! Pieniędzy ci nie brak!

— Mam złożone około tysiąca franków, mój wuju. Widzisz więc, że biedy tu nie zaznasz.

— Hm! hm! Widzę, ale coś niejasnego... Mogę być włóczęgą, pijakiem i próżniakiem, co chcesz zresztą, ale brać od ciebie, nie wiedząc, skąd to pochodzi, to mi się nie podoba! Włóczęga jestem, ale uczciwy, rozumiesz mnie! Przypatrz mi się dobrze, moja mała!

— Słucham słów twoich z radością, wuju Allanie. Ojciec by tak samo mówił.

— Wierzę, bo był jeszcze uczciwszy odemnie. Ale nie o to teraz chodzi. Chcę wiedzieć skąd wyrwałaś te pieniądze? Gdzie do nich doszłaś?

— W Paryżu, wuju Allanie.

— Paryż. Bagno nie miasto. Co dalej?

— Pracowałam u pani markizy de Kermor... wiecie.

— Wiem, wiem i to, wiele innych rzeczy. Bo ja znam dobrze Paryż, moja mała. Wiesz co! Nic już nie mów, wolę ci powiedzieć pierwszy, co mi leży na sercu.

— Mój wuju, zechciej mnie pytać, odpowiem ci szczerze, tak jak ojcu!

— Właśnie! Dwa łuty prawdy, a resztę kłamstwa. Ale i to dobre, nie często po świecie chodzi. Rzecz jest taka: Póki byłem młodszy i silniejszy, należałem do niejednej wyprawy morskiej i widziałem niejedne obce kraje i różnych ludzi. Ale przez wszystkie te lata żyłem sam, nie potrzebując nic od nikogo. Ale teraz wiek zmógł moje wypracowane kości i trzeba rezygnować z dawnego życia. To już nie dla mnie, rozumiesz. Było ze mną coraz gorzej, aż w końcu wsiadłem na okręt odpływający do Francyi, bo powiedziałem, że tutaj jeszcze, na wybrzeżach, będę mógł chociaż krewetki łowić i homary.

— Doskonałą myśl miałeś, wuju Allanie. — Wcześniej czy później do kraju zawsze powrócić trzeba.

— Kiedy się może, moja panno. Mnie już parę razy o mało nie wrzucono do morza na pożywienie rekinów. Coś się we mnie psuło. Kości bolały, darły, w piersiach oddechu nie stało! Przyłapało mnie porządnie. — Sześć miesięcy przeleżałem w szpitalu, które zapamiętam do samej śmierci!

— Biedny wuju Allanie! Gdybym była wiedziała!

— Cicho bądź! Nie przerywaj. W tym szpitalu nie robiłem nic, tylko myślałem. I wymyśliłem sobie, że przecież gdzieś do dyabła musiałem się urodzić, jak każdy inny człowiek. Dawno to już co prawda było, ale może tam coś mi z prawa przypadać będzie po ojcach, choć odrobina jaka! I ruszyłem przekonać się...

— I przekonałeś się, wuju — rzekła Janina uśmiechając się wesoło — że masz ładny domek i służącą, która się tobą opiekować będzie. Jest to nagroda za ciężkie dnie, jakieś przeżył. Promyk słońca po burzy.

— Gadaj sobie dalej na wiatr, moja kochana! to mi nie szkodzi. Teraz do rzeczy. W Paryżu udałem się do dyrekcyi policyi po informacyę, wiem, że ci się to bardzo podobać nie będzie i prosto stamtąd przybywam tutaj na twoje wielkie utrapienie. Nie spodziewałaś się takiej niespodzianki. Rozsiadłaś się tutaj, jak jedyna dziedziczka.

— Byłeś w dyrekcyi policyi, wuju Allanie? — szepnęła Janina silnie wzruszona lękając się, że ode brał tam wiadomości niekorzystne dla niej.

— Byłem. Poinformowano mnie tam dokładnie i szybko. Zapytałem się, czy żyje jeszcze kto z rodziny le Brenów. Kazano mi zatrzymać się chwilę, a potem powiedziano mi, że jest jeszcze jedna osoba nosząca to nazwisko, że właśnie ją poszukują i bardzo pragną dostać ją w ręce.

Stary marynarz rzucił bokiem badawcze spojrzenie na młodą dziewczynę i mruknął gniewnie.

— Wierzę, że ci się to niepodoba, naprawdę. Może mam pospieszyć na ratunek panienki, co? Jeżeli ci co brakuje i źle z tobą się dzieje, to masz mówić, rozumiesz!

— Mów dalej, wuju Allanie — wyszeptała z trudem Janina, starając się opanować koniecznie.

— To już koniec. Dopływam do brzegu. Więc policya znała tylko jedną dziewczynę, noszącą nazwisko le Brenn i ta dziewczyna wiodła nieuczciwe życie. Pracowała niby pozornie, w wesołych, podejrzanych domach i dostała się nawet do więzienia. Poszukiwano ją, gdyż uciekła, czy coś podobnego. Może chcesz wiedzieć, jakie było jej imię? Janina, tak jak twoje. Dziwi cię to? W końcu postanowiłem powrócić do kraju, żeby pogawędzić cokolwiek z dawnymi znajomymi, a że pragnienie mnie męczyło, zatrzymałem się tutaj. Oto wszystko.

Stary marynarz powstał z ławki, nałożył świeżą fajkę i stając przed Janiną, wymówił szorstko:

— To była moja historya, a ty teraz opowiadaj swoją. Słucham cię uważnie.

Janinie nawet na myśl przyszło zataić prawdę, lub tłumaczyć się. Wiedziała jednak i czuła, że trudno jej będzie przekonać starego krewnego o niewinności swojej. Ten człowiek prosty, surowy i zapalczywy nie będzie chciał zrozumieć, że stała się tylko ofiarą nagromadzonych rozmyślnie powodów.

Drżąca i wylękniona przystąpiła do swojego zeznania. Jednym tchem, nie namyślając się, nie dobierając słów, opowiedziała cały przebieg swojego życia, od dnia opuszczenia wioski swojej rodzinnej i w słowa te włożyła całą duszę swoją, szczerość i boleść. Głos jej pewny, czysty, jasny wyraz oczu i smutek, malujący się na twarzy, były najlepszymi jej obrońcami.

Stary Allan nie przerwał jej ani jednem słowem. Wyrazu jego twarzy dojrzeć nie mogła. Ukrył ją w dłoniach, tylko od czasu do czasu jakieś niezrozumiałe mruknięcie wybiegało z piersi jego. Straszny smutek i lęk ogarnął Janinę. Była przekonaną, że nie wierzy w prawdę jej słów! Ale odważnie dobiegła do końca swojego opowiadania, nie tając nic i nie łagodząc.

Kiedy skończyła, zapanowało długie, ciężkie milczenie. Stary Allan wyjął z kieszeni wielką, kraciastą chustkę i długo nos obcierał, kryjąc nią całą twarz, jakgdyby namyślał się z wyrzeczeniem jakiegoś postanowienia.

— To wszystko łatwe było do powiedzenia — mruknął w końcu — Ale ja w tem nic jasnego i pewnego jeszcze nie widzę. Postaram się rzecz całą rozjaśnić, a potem rozważę i według tego postąpię. A to złoto, co tu masz, to chyba przyjmę, bo wiem, że go rujesz je z dobrego serca.

Trochę spokoju i ulgi wstąpiło w serce Janiny.

— A więc, wuju Allanie — odezwała się — będziesz chciał zająć się naszą kasą?

— Bądź spokojna, wezmę ją w ręce swoje i nie wypuszczę. Któż mi ją, do stu piorunów, może odebrać.

Od chwili, w której się Janina przekonała, że ten stary, przykry włóczęga jest jej wujem, czuła się zupełnie bezbronną wobec niego. W myśli pożegnała swoje drobne oszczędności, przeczuwając jaki z nich uczyni użytek. Przed wieczorem jeszcze wuj będzie bezprzytomny i to będzie tak codziennie, dokąd się pieniądze nie wyczerpią. We wiosce nie zabraknie prędko wódki i mocnego rumu. Mając taką sumę w ręce, stanie się stałym gościem każdej karczmy, a dosyć ich tu na nieszczęście było! Janina widziała już, jak będzie nad ranem powracał, klnąc i złorzecząc, obrzucając ją niedobremi surowemi słowami! Ale jakże ona potrafi odwrócić to nieszczęście! Na razie nie znajdowała na nie sposobu. Tych pieniędzy przecież nie mogła mu odmówić. Weźmie to za brak serca i uszanowania z jej strony i stanie się tem przykrzejszy dla niej. A przecież serce jej się ściskało na myśl, że pomocne one będą do codziennego zatruwania się starego krewnego i przyspieszą śmierć jego. Poszła jednak po nie bez słowa, wyjęła z wielkiej, rzeźbionej prosto szafy i wsunęła sakiewkę w jego rękę. Wziął w milczeniu i wszedł za nią do mieszkania. Na progu zdjął czapkę, narzekając na gorąco i może pod wpływem wspaniałomyślności siostrzenicy uspokoił się trochę, bo kląć przestał i mówił zniżonym głosem.

Obejrzał dom cały starannie, zaglądając do każdego kąta ciekawie.

— Nic tu się nie zmieniło — zauważył — Twoja matka także była porządną i gospodarną kobietą, a dosyć miała do roboty z nami wszystkimi. No, niema co wiele mówić, umiałaś tu utrzymać dawny porządek, mała.

— Naprawdę, wuj tak znajduje? — zapytała Janina, ośmielona tą niespodziewaną pochwałą — Teraz, kiedy ty tu będziesz, wuju Allanie, starać się będę jeszcze bardziej cię zadowolić. Póki byłam sama opuszczałam się trochę, bo nie wiedziałam dla kogo pracować.

Wyjęła z komody białe jak śnieg, płócienne prześcieradła pachnące lawendą i zaścieliła niemi stare łóżka ojca. Potem położyła na ławce, czyste, trykotowe ubranie, będące niegdyś własnością Iwona le Brenn.

— Jest tu dla ciebie ubranie, wuju Allanie — rzekła nieśmiało — Może przebierzesz się w nie, jak wypoczniesz i przespisz się trochę. Zostało tutaj od śmierci ojca. Patrz! tu jest jeszcze jego mundur przedziurawiony kulami i pchnięciem bagnetu, a na tej wstążce odznaki wojskowej widoczne są jeszcze znaki krwi skrzepłej.

Oczy jej zaszły łzami, gdy pokazywała te pamiątki.

— Biedny ojciec — szepnęła — To jego czapka ceratowa, prawie nowa jeszcze, miał ją na sobie tej ostatniej nocy, kiedy rzucił się do morza ratując tonących. Nazajutrz ciało jego dało nam morze.

Umilkła na chwilę zmęczona wzruszeniem, poczem mówiła dalej.

— Mama już wówczas nie była bardzo silna, a to zmartwienie dobiło ją. Niedługo poszła za nim. Jak zechcesz, wuju Allanie, to zaprowadzę cię na ich grób; leżą tuż obok dziadków.

Płacz dławił ją, a nie chciała okazać się słabą i wzruszoną przy starym, którego by to napewno rozdrażniło. Szukała sposobności, aby wybiedz na pole, żeby się wypłakać do woli.

— Pokażę ci jeszcze więcej pamiątek, wuju Allanie — zawołała wybiegając nagle — ale teraz muszę pobiegnąć do sklepiku. Przyniosę ci butelkę dobrej wódki i coś do posilenia się.

Szybko zamknęła drzwi za sobą, nie czekając na odpowiedź. A brzmiała ona w szczególny sposób. W pokoju rozległ się groźny pomruk, ciężkie, bolesne westchnienie. Stary włóczęga morski upuścił na podłogę kulę, którą się podpierał, upadł na ławkę i płakał jak dziecko. Wzruszenie odbierało mu przytomność. Z piersi jego wybiegały rwane słowa:

— Potworem jestem. Twoje miejsce nie tutaj, zbieraczu złota! Tu uczciwość i honor! Po co tu powracasz! Co znaczy potęga twojego złota, wobec tych skarbów, które tu są!

Kiedy Allan podniósł oczy łzami zalane, zauważył, że znajduje się na ławce, na której matka, trzymając go na kolanach, niegdyś uczyła pacierza.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Manifestacyjny pogrzeb Legionisty w Warszawie: Delegacye z wieńcami przed kościołem Piotra i Pawła na Koszykach



Manifestacyjny pogrzeb Legionisty w Warszawie: Na cmentarzu powązkowskim.

Kronika tygodniowa.

Jak już w poprzedniej kronice, na samym jej wylocie wspomniałem, oddaję się obecnie studyom astronomicznym i badam ruchy gwiazd, zwłaszcza zaś Jowisza i Wenery. Niestety, nie bardzo mi się to udaje, gdyż w owym dniu, gdy obie gwiazdy były najbliżej siebie, padał deszcz, na drugi wieczór nie otrzymałem „*passirszeinu*“ na wyjście do miasta, a gdym się wyrwał wreszcie z domu, już było po wszystkiemu. Jak się pokazuje, Wenus goni dziewiętnaście razy prędzej, niż papa Jowisz, któremu, jak to wiemy z mitologii, dokucza chroniczny reumatyzm. Zresztą nie dziwię się jej pospiechowi, boi się widocznie, by jej mama nie zrobiła awantury, że tak długo siedziała „u koleżanki“.

Pojawienie się obu tych gwiazd dało powód do różnych przypuszczeń. Dewotki twierdziły nawet, że jest to niechybny znak zbliżającego się końca świata. Jeśliby to było prawdą, w takim razie skończyłaby się *eo ipso* i wojna, do czego każdy z nas wzdycha. Ja sam w każdej kronice wspominam o tem, niestety, przepowiednie moje przeważnie się nie spełniają, ale to już nie moja wina, gdyż informacye posiadam pierwszorzędne i zostaję w ścisłym kontakcie z prawie wszystkimi wybitnymi politykami świata nowego i starego.

Nie lubię się chwalić, muszę przecież nadmienić, że nawet prezydent Wilson, acz kolwiek znamy się bardzo mało, zaprosił mnie na swój ślub, z czego jednak nie mogłem skorzystać ze względu na niebezpieczeństwo morskiej podróży. Bo to dzisiaj człowiek nie jest pewny ani dnia, ani godziny. Płyniesz obie okrętem, a tu nagle wynurza się łódź podwodna, wypuszcza torpedę i... klapa! A wyobrażam sobie, jak to musi być przyjemnie, gdy się człowiek obudzi na dnie morskiem jako nieboszczyk, lub znajdzie się w żołądku jakowegoś potwora! Brr! Na samo wspomnienie, aż mnie ciarki przechodzą, bo to chyba nie musi być nic przyjemnego, gdy się człek opije słonej wody... A ja wody tak nie lubię!

Gdym Weronisi zakomunikował wiadomość, że zaproszony jestem do Ameryki, oświadczyła kategorycznie, że na to nie pozwoli. Wobec tego nie pojechałem i jestem dziś z tego zadowolony, kto bowiem wie, czy nie byłbym już dziś nieboszczykiem. Napisałem tylko list gratulacyjny i przesłałem nowożeńcom skromny upominek (zapewne znowu srebrne sitko do herbaty na dwadzieścia cztery osób... *przyp. zecera*).

Niema jednak na świecie róży bez kolców, a posagu bez żony!

Gdy z jednej strony cieszą się *Nowości illustrowane* i ich kronikarz z służonem uznaniem, czego dowodem chociby owo zaproszenie przez prezydenta Wilsona, tak znów z drugiej nie brak im też „sympatyków“, którzy chętnie utopiliby je w łyżce wody.

W pierwszym rzędzie zaliczam do nich konkurencyą, to jest tych dziennikarzy, którzy radziby byli wydawać coś podobnego, ale brak im do tego różnych rzeczy, często oleju w głowie, a najczęściej monety.

Ci powiadają stale:

— Co mi to za pismo! Dajcie mi tylko w rękę gotówkę, a ja wam już stworzę coś takiego, czego ani świat ani korona polska nie widziały! Ludziska po prostu zbaranieją!

W drugim szeregu stoją różni autorzy, zwłaszcza zaś poeci, którzy radziby byli, gdyby mogli znaleźć na łamach *Nowości* uście dla swego natchnienia. Ci znowu twierdzą, że tego rodzaju pismo bez ich utworów, to jak ów pies bez ogona, choć zapominają, że są psie rasy, nawet bardzo szlachetne, pozbawione tej ozdoby, a całkiem im z tem do twarzy. Kiedyś, gdy doprowadzimy do tego, że pismo nasze będziemy wydawać w objętości dajmy na to pięciu lub sześciu arkuszy, jeden z nich będzie można zamienić na dodatek literacki, dziś brak na to miejsca. Wówczas i kronikarz, zadowalający się dotąd jedną kolumną, z której mu jeszcze od czasu do czasu coś okroją, rozsiędzie się na dwu i przynajmniej będzie się mógł wygadać. Ale na to trzeba po pierwsze ukończenia wojny, a po drugie energiczniejszego poparcia materyalnego i moralnego *Nowości illustrowanych* przez czytającą Publiczuość.

A jak tu mówić o poparciu materyalnem, gdy już w następnym szeregu „sympatyków“ stoją ci, którzy radzi je widzą i nawet czytają, ale pod warunkiem, by to nic nie kosztowało.

— Dajcie mi gratis przez rok — powiada taki pan, najczęściej kamienicznik — potem może zaprenumeruję, gdy poznam kierunek pisma... Kota w worku nie kupuję...

A takich ananasów można liczyć na kopy. Kilka razy kwestyę tą już poruszałem, zaznaczając, że nam nikt nic nie daje zadarmo, ale słowa moje były jeno głosem wołającego na puszczy, bo niema dnia, bym nie spotkał znajomego, który uśmiecha się przyjemnie, zaczyna od pogody i wojny, a kończy:

— R dakto ku kochany! Może tam macie numerek w kieszeni! Dajcie! Zaniosę żonie, niech się tam kobiecisko rozerwie!

— W trafice, łaskawy panie — ja mu znów na to — mają tyle numerów, że aż je sprzedają! Niech się dobrodziej tam pofatyguje. Wydatek tylko trzydzieści dwa halerze...

— Nad moje siły! Jak Boga kocham! — tłumaczy się biedak tak żałosnym głosem, że przysiągłbyś, iż chyba od tygodnia nie jadł, a tymczasem słyszysz, jak przy płaceniu rachunku dyktuje:

— Panie Janie! Miałem dwie stare starki i dwa koniaczki francuskie, dwie bułeczki z carskim kawiorem, kawałeczek łososia i dwie większe butelczki porterku angielskiego..

— I chleb pewnie był? — pyta pan Jan, zestawiając rachunek.

— Ależ nie! Na to mnie nie stać! Teraz chleb taki drogi!...

Słysząc to, myślę sobie w duszy:

— I żyj tu między takimi i pisz dla nich!...

Do rówieśnieżej niezadowolonych zaliczyć należy także i wielu z odsprzedających *Nowości illustrowane*, którym ani rusz nie może się pomieścić w głowie, jak administracya pisma może być tak niedelikatną, by żądała zapłaty za sprzedane numery!

— Nie dość że się im pismo sprzedaje, jeszcze płacić za to?.. To okropność! — powiada pan lub pani X. albo Y..

Ale trudno, ludzie o pismo się pytają, trzeba je mieć na składzie. Zapomina się tylko o tem, że się przecież za pośrednictwo chowa do kieszonki wcale ładny procencik. Niema się więc czego gniewać, ani wymyślać nam od „żydowskiego pisma“, jak się to niedawno stało, ale postąpić w myśl zdania: „oddać Bogu, co boskiego, a cesarzowi, co cesarskiego“, to jest zapłacić Administracyi, co się jej należy, a dla siebie schować ów procent, który będzie tem większy, im więcej numerów się sprzeda.

Litania owych, którzy nas maltretują, nie jest jeszcze skończona! Na samym końcu, nie na szarym, broń Boże!... uważam go honorowy, postanowiłem kilka słów poświęcić temu panu z magistratu (nie wiem, jak się nazywa), który bez apelacyi orzeka, czy temu lub owemu pismu należy się gratisowy, więc wolny też i od podatku, bilet na koncert lub jakieś widowisko.

Pan ów z zasady *Nowości illustrowane* wykreśla twierdząc, że tygodnik nie ma prawa do otrzymywania gratisowych biletów. Już trzeci z rzędu z urządzających koncerty, na zwróconą mu uwagę, że zapomniał o nas, odpowiada, tłumacząc się:

— Ależ nie! Podałem was w spisie, w magistracie skreślili...

— Ha! Jeśli im to robi taką przyjemność, to niech kreślą, ale w takim razie niechaj magistrat, a nie nas wini ogół za to, że zbyt mało wzmianek poświęcamy koncertom i t. p. widowiskom, urządzanym w Krakowie! W całym świecie panuje zwyczaj, że wszystkie pisma miejscowe, *ergo* i tygodniki, otrzymują wolne bilety wstępu... Chyba, że Kraków, to nie Europa...

Otóż, jak z tego widzą Szanowni Czytelnicy, kronikarz nie ponosi żadnej winy, jeżeli czasem nie napisze o występie jakiegoś cudownego dziecka lub o czemś podobnem. Choćby nawet i chciał, nie może, gdyż nie dostał na przedstawienie lub koncert biletu, a trudno od niego wymagać, aby z własnej szkatuły pokrywał tego rodzaju wydatki, zwłaszcza, że ona świeci gwałtownemi pustkami, niczem skarb króla Nikity czarnogórskiego przed kapitulacyą!

Niema jednak złego, coby na dobre nie wyszło! Gdybym tak rzeczywiście zaczął gonić z koncertu na koncert, kto wie, czy nie przejąłbym się tak muzyką, że pisałbym tylko o niej i o niczem więcej. A przyszłoby mi to bardzo łatwo, zwłaszcza, że nie znam się na muzyce zupełnie, możnabym więc rozpisywać się na ten temat długo i szeroko... A na to teraz nie pora, ważniejsze sprawy mamy na głowie.

Przedewszystkiem więc interesujemy się wyrobem sztucznej stali bez użycia do niej domieszki manganu, sprowadzanego dotąd z zagranicy, głównie z Rosyi. Koalicya, która była przekonaną, że wobec tego mocarstwa centralne pozbawione będą amunicyi, zawiodła się przecież, gdyż chemikom niemieckim udało się wynaleźć sposób inny wyrabiania stali, nie równie lepszej od poprzedniej. Z pomiędzy wynalazków, poczynionych w czasie wojennym, ten i w czasie pokoju może znaleźć szerokie zastosowanie, więc też zasługuje na wzięcie go pod kronikarskie pióro. Gdyby tak ktoś wynalazł jeszcze sposób wyrabiania złota, ale nie z wody morskiej, gdyż to trwa zbyt długo, ten zyskałby sobie miano prawdziwego dobrodzieja ludzkości.

Według obliczeń pewnego pisma, w wodzie morskiej jest tyle złota, iż na każdego mieszkańca ziemi wypadłoby po trzy i pół miliona (zapewne koron) w złocie, wobec czego od dziś już uważam się za milionera, a tego mi chyba nikt za złe nie weźmie. Patrzę z góry nawet na kamieniczników, przed swym jednak do milionów się nie przyznaję, boiąc się, by mi z tego powodu czynszu znowu nie podniósł.

Jeśliby tak udało się przypadającą na mnie ilość złota wydobyć z wody morskiej, jaką drogą, pozostawiam to panom chemikom, wówczas wiedziałbym, jak sobie urządzić życie!

Dotąd ideałem moim był ów koń duński, nazwiskiem Aldrup Munkedal, któremu może pozazdrościć niejeden galicyjski głodomór. Według doniesienia pism niemieckich, co powtórzyły i nasze, czworonożny ów obywatel, którego głównem zajęciem jest staranie się o rozszerzenie końskiego rodu w Danii, ma „papu“ wcale niezgorsze. spożywa bowiem dziennie po trzydzieści jaj, dwanaście funtów miałkiego cukru, piętnaście do dwudziestu pięciu funtów owsa, nieco pszenicy i buraków, nie licząc wcale pokaźnej porcyi wyborowego siana.

Dzięki tej „dyecie“ wywiązuje się podobno doskonale ze swego zadania, posiada i ognisty temperament i bardzo słodkie obejście, wobec czego warto by się nad tem zastanowić czy podobne żywienie nie wpłynęłoby także dodatnio na męskie osobniki dwunożne (odmiana *homo sapiens)*, z wykluczeniem naturalnie siana i owsa, które możnaby zastąpić czem innem.

Na takie jednak zbytki mogą sobie na razie tylko konie pozwolić, a nie ludzie, którzy zeszli, jak to mówią, „na psy“, psią też, a nie końską dolą się cieszą.

Wartoby to przecież wziąć głębiej pod rozwagę, dla ogółu mogłoby to mieć ogromne znaczenie. Zauważyłem, że i Weronisia po przeczytaniu odpowiedniej notatki zaczyna mnie karmić jajami, pozwala mi jeść miałki cukier, ile mi się zechce i spodoba, kiedyś upiekła nawet owsiany placek, by się przekonać, czy autor artykułu ma racyę...

Czy się to jednak zda na co, wątpię bardzo, żal mi tylko wydatków, na które naraża się biedna kobiecina, boć to przecież tylko zamach na mą własną kieszeń. Ona robi długi, a ja je płacę, tak było ongiś w raju, tak jest teraz, tak będzie po wieki wieków, jak długo świat stać będzie w swych posadach.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko zmarłego niedawno malarza-legionisty.

□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —
□ — — — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Wódz grecki. 2. Dostojnik kościelny. 3. Rod tek. 4. Klątwa kościelna. 5. Farba. 6. Historyk rzymski. 7. Dzieło Reja. 8. Utwór p et cki. 9. Imię i nazwisko polskiego estetyka. 10. Inaczej koniczyna. 11. Zakład bankowy. 12. Miasto na Wołyniu. 13. Inaczej ryc na. 14. Przyrząd elektryczny. 15. Port rosyjski. 16. Inaczej pośrednictwo. 17. Kwiat ogrodowy. 18. Zawód.

Kwadrat magiczny.

Ułożył W. B., Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko polskiego artysty rzeźbiarza.

□
— □ —
— — □ — —
— — — □ — — —
— — — — □ — — — —
— — — □ — — —
— — □ — —
— □ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Ptak śpiewający. 3. Członek rodziny. 4. Rozbójnik morski. 5. Imię męskie. 6. Pozbawienie wolności. 7. Narzędzie rolnicze. 8. Owad. 9. Spółgłoska.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Rynek, sus, rydze, topaz, Ida, Józio, gaz, oko, rude, wino.

Logogryf geograficzny.

Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z gory na dół, utworzy nazwę wyspy afrykańskiej.

□ — — — — —
□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — — — —
□ — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Kurlandyi. 2. Stolica europejska. 3. Rzeka w Rosyi. 4. Góry w Afryce. 5. Port nad Bałtykiem. 6. Wyspa na Atlantyku. 7. Miasto w Galicyi. 8. Wyspa w zatoce neapolitańskiej. 9. Część świata. 10. Państwo europejskie.

Łamigłówka.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego nazwiska wyjąć jedną literę i ułożyć z nich imię i nazwisko kapłana-patryoty.

Sowiński.
Chłopicki.
Chłapowski.
Dąbrowski.
Skrzy ecki.
Dęmiński.
Żółkiewski.
Jasiński.
Chodkiewicz.
Sob eski.
Czarniecki.
Lang ewicz
M d liński.
Puławski.
Kordecki.
Kiliński.
Kościnszko.
Poniatowski.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Tatar Or ma kość, rum, czerw i tusz na łące pod Krasnem.

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

HELIODOR AK. A. CYGAN.

ALBIN FAUST KANAG.

ANTONI N. HYCK.

BEATA LYSTH.

ADAM AN. E. E GRABSKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 7.

Trójkąt magiczny:

B a r s z c z e w s k i
A l e k s a n d r y a
R e z y d e n c y a
S z c z u p a k i
Z e l a n d y a
C z a m a r a
Z b o r ó w
E r a z m
W o d a
S y k
K n
I

Zadanie do przestawienia: Niech żywi nie tracą nadziei i przed narodem niosą oświaty kaganiec.

Grzebieniówka:

M i k o ł a j Z y b l i k i e w i c z
i o a o a n a s d e
l z d d n d n t y s
t a o y k w t e l z
o c g n e i o r l y
n y a a s k n a a t

Kwadrat magiczny:

H
k i r
s a l o n
H i l b o r t
p r o c z
a r a
t

Łamigłówka wojenna: Conrad Hötzendorf.

Kwadrat magiczny:

S o w a
o c e t
w e b a
a t a k

Zadanie do przestawienia: Jedno do Sasa, drugie do lasa.

Bilety wizytowe: Dramaturg. Kwatermistrz. Oficer sztabowy. Generalissimus. Generał kawaleryi.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzow. A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki, J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Krakow, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Krakow, W. Krzywicki Praga, K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S. Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, S. Pogoda Kamionka Mała, S. Swierkowna Kraków, Z. Szymanek Nowy Sącz.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Winzkiewicz, Wiedeń.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Rzecz zapatrywania.

Jeden z krakowskich lekarzy zajmuje się specyalnie studyami nad pasorzytami, zamieszkującymi wnętrze człowieka, a szczególniejszą uwagę poświęca tasiemcowi w różnych jego odmianach.

Gdy niedawno zgłosił się doń jeden z pacyentów z prośbą o poradę i zapytany, co mu dolega, odrzekł:

Panie doktorze, mam tasiemca! — lekarzowi rozweseliło się oblicze i zauważył z ukontentowaniem:

— A! to bardzo pięknie z pańskiej strony!

Z wykładu okulistyki.

Pan profesor okulistyki wykłada swym słuchaczom o różnych zboczeniach narządu wzrokowego.

— Aby dokładnie módz ocenić odległość jakiegoś przedmiotu, potrzebujemy koniecznie obydwu oczu, spoglądając natomiast jednem, bardzo łatwo możemy się mylić. W ten sposób da się wytłumaczyć, dlaczego cyklop Polifem, rzucając odłamami skalnymi na okręt Odysseusza nie mógł go trafić. Będąc jednookim, nie mógł należycie ocenić oddalenia...

— Ależ, panie profesorze — zauważył jeden ze słuchaczy — przecież Odysseusz wybił mu przedtem to jedyne oko!

— Tak! Ma pan słuszność! — zakonkludował profesor, nie tracąc fantazyi — to się także do tego przyczyniło...

Co za szkoda!

Agent: Chciałem się zapytać, czy państwo dobrodziejstwo nie zechcieliby przystąpić do związku palenia ciał zmarłych?...

Suchy mąż nader chudej żony: Nie panie! Ani ja, ani moja żona nie jesteśmy za tem!

Agent: Co za szkoda! A ciała państwa paliłyby się tak doskonale!

Jedyny w Krakowie, który posiada własny wyrób trumien

Zakład pogrzebowy „Concordia" Jana Wolnego

Kraków, Plac Szczepański L. 8 (dom własny) Telefon Nr. 381.

C. SZCZURKOWSKI

Kraków, Grodzka 2

poleca:

Zabawki, Gry towarzyskie, Lalki itp.



PATEFON

(od K 60·— wzwyż, płyty po K 3·—, 5·— i 7·—)

pożądany i wierny towarzysz, rozproszyciel trosk (gra, śpiewa, opowiada)

Posyłajcie go braciom walczącym w rowach strzeleckich, koi on ich tęsknotę za domem i krajem.

S. GRUDZIŃSKI i T. BERGER

Kraków, Szewska 22 5

Cenniki na żądanie darmo.

Wojenna, skorzana branzoletka z zegarkiem K 6·50



w niklowej scb wce z dobrym werkiem Nr 4297 1/2. W stalowej schowce K 8·—, Nr 4301 1/2 w niklowej lub stalowej schowce z kółeczkami po bokach i rzemykiem K 7·50. Nr 4302 1/2 z radium świecącą tarczą i wskazówkami według załączonego wzoru K 9·50, na każdy zegarek 3-letnia piśmenna gwarancya! Bez ryzyka! zamiana dozwol. lub zwrot pieniędzy.

I-sza fabryka zegarków

Hanns Konrad

c. i k. adw. dost. w Brüx Nr 1290 (Czechy)

Główny katalog darmo

Wojenna branzoletka z zegarkiem

Z szkłem ochronnem — Nie do rozbicia



Wielkość według rysunku — także w większym formacie

Wojenna branzoletka z zegarkiem z rzemykami niklowa lub stalowa duży format K 6, Radiowa K 10. Ta sama mały format według podanego wzoru K 10 i 12 Radiowa K 15 i 18 Z precyzyjnym werkiem Anker K 20 i 24. Marki Cyma K 30, Omega K 50. Z szkłem ochronnem według podanego wzoru K 1·50 więcej. Najnowszy zegarek wojenny K 5, pierwszej jakości K 8, radiowy K 10. Budzik kieszonkowy K 18, radiowy K 26. Odpowiednia skórzana branzoletka K 2 więcej. Wojenny budzik niklowany 21 cm. wysoki z dzwonkiem K 5. Wojenny budzik „Kanon" budzi bardzo głośno K 6. Wojenny budzik „Bęben" bębni marsz generalski K 7. 3-letnia gwarancya. Wysyłka za poprzedniem nadesłaniem należytości oraz 60 hal. na porto, także w pole przez

Pierwszy skład wojennych zegarków

Max Böhnel

Wiedeń, IV. Margaretenstr. 27/62

Oryginalny fabryczny cennik darmo.

Rowery Ryval



są przecież najlepsze!

K 125 kompletny z torpedem, lampą acetylinową, dzwonkiem, torbą z przyrządami, pompa K 6·—. Płaszcze K 6·50 i K 9·—. Rafy górskie K 12·50 wszystko po cenach fabrycznych. Maszyny do szycia, gramofony, lampy kieszonk. Cenniki darmo.

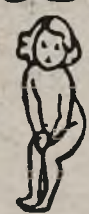
Specyalny Dom przemysłu rowerowego

G. Wondrak

Wiedeń, III. Hauptstrasse 144.

Cennik darmo i opłacony Nr. 140.

BOBO PUDER BEZ MĄKI DLA DZIECI



zestawiony na podstawie najnowszych badań nauk.

BOBO chroni skórę przed odparzeniem

BOBO wchłania wilgoć znakomicie

BOBO działa antyseptycznie

BOBO nie tworzy podłoża dla bakteryi,

ponieważ nie zawiera mąki (skrobi), która kiśnie. — BOBO najlepsze mydło dla dzieci. — Każda matka, dbająca o zdrowie dziecka, używa tylko pudru i mydła BOBO. — Proszę żądać we wszystkich aptekach i drogueryach. **Skład: „Pharma", Długa 5.**

Potrzebny uczeń do drukarni i kl'szarni Nowości Illustrowanych

Kalodont

nowe opakowanie.



Z powodu obecnych stosunków jesteśmy zmuszeni opakowanie naszego od 30 lat znanego w handlach

kremu na zęby „Kalodont"

zmienić.

Opakowanie tubek następuje równocześnie zamiast w dotychczasowych używanych hilsach, w kartonach składanych, których rysunek i koloryt jest taki sam, jak na dotychczasowych etykietach tub, które we wszystkich krajach prawnie chronione.

Powszechnie w świecie znany i lubiany artykuł „Kalodont" będzie nadal jak i dotychczas w nieprześcigionej jakości w obrót handlowy wprowadzony.

F. A. Sarg's Sohn & Co.

Wiedeń, IV. Berlin.

KINO-WANDA

przy ulicy św Gertrudy L. 5.

Co trzeci dzień nowy program.

Przedstawienia trwają w dnie powszednie: od godziny 4-tej do 11-tej, w niedziele i święta od godziny 3-ciej do 11-tej wieczór.

Założony w roku 1900!

Po drodze do Zakopanego

Założony w roku 1900!

lub wracając, najlepiej zaopatrzeć się można w wszelkie **ubiory męskie** wykonywane na specyalne zamówienia podług miary

W ZWIĄZKU KATOL. KRAWCÓW

W KRAKOWIE, Floryańska 7. — WE LWOWIE, Plac Halicki 7.

Doborowe materyały na składzie w wielkim wyborze.

Suknie dla Przewielebnego Duchowieństwa sporządzają fachowi specyaliści. (Na zapas do składu wyrabiane są ubrania gotowe o ile na to obecne stosunki wojenne zezwalają).

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego